

OPowieści z BAGIEN

ZATAŃCZ ZE MNĄ



MAGDALENA KWIECIEN

OPowieści z BAGIEN

ZATAŃCZ ZE MNĄ

TOM II

MAGDALENA KWIECIEŃ



Redakcja: Joanna Mroczkowska
Pierwsza korekta: Jowita Kostrzewa
Skład DTP: Joanna Mroczkowska
Konwersja do formatów mobilnych: Andrzej Zyszczak – Zyszczak.pl
Druga korekta: Natalia Kocot – Zyszczak.pl
Projekt okładki: Marta Żurawska
Ilustracje: Jagoda Miga
Wiersze: Aneta Buczyńska

Copyright © Wydawnictwo Vibe, 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

Wydanie I
ISBN: 978-83-972755-0-8

Dla mojego wyjątkowego syna

PROLOG

*Jak tu jasno i słonecznie i nagietki złocą się u moich rąk, jak bezpiecznie
A franki w oczach domu, rzęsy śnieżnobiałe, wiatr wygina lekko
Po ogrodzie płynę, bratek, malwa i słonecznik
Słońce mnie dotyka ciepło, złota kula się kotysze
W miodowym powietrzu prawie duszę moją słyszę
Podejdz, malwo, chodź tu, różo, weźcie mnie w ramiona
Ulecz, chabrze, moje serce, w środku lata konam
Nagły cień na koniczynie czterolistnej, zwiastun burzy na firanec
Pająk w oku nieprzejrzysty, niezapominajka, akwarela
Zapomniała o mnie, też umiera
Tańczę, tańczę na murawie obłąkany danse macabre
I czerwony już horyzont porankowi szczęście skradł
Nagły lęk i trzepot serca, gdy już tyle smutku we mnie
Gdy już jestem cieniem, chcę uciekać jak najdalej przed wspomnieniem
Lecz w ogrodzie nie ma ścieżki, mgła, powieka ciężka, nie widzę ucieczki
Rabaty już puste, czarne kwiaty, liści węże pełzną
Krzyczy purpurowy księżyc, gwiazdy zimne bledną
I jak pieczęć w moim sercu, i wydany wyrok
Już na wieczność ciemność, wczoraj, jutro, teraz
Szukam złota w truchle słońca, ono znów umiera
Tańczę więc, ciemności żona, taniec mój przeklęty
We wspomnieniach zanurzona, minionym skażona*

Dlaczego? Z głębi mroku, tam gdzie cienie przeszłości zmieniają się w nieme wołania, wylaniają się półprzytomne oczy dawnego kochanka. Jego bezgłośnie pytanie stara się przebić przez niewidzialną ścianę, którą między nami postawiłam. Nie muszę niczego tłumaczyć ani usprawiedliwiać rozstania. Zerwałam więc raz na zawsze, tak jak każdą inną, która ośmieliła się zakorzenić w moim sercu. Wybory są trudne, ale należą do mnie i mam do nich pełne prawo.

Nie poświęciłam się ludzkości ani czynieniu dobra, jak to często robią inne czarownice. Przez lata służyłam, niczym niewolnica, złej do szpiku kości bestii, po czym zamieniłam ją na inną – demona, który karmił się moimi grzechami. Dopiero PŁOMIEŃ, od którego dostałam imię, zawalczył o moją wolność. To bycie wiedźmą OGNIA jest tym, co we mnie najcenniejsze.

W życiu zrodzonym w cierpieniu i okowach tajemnicy decyzje nie są ani łatwe, ani zrozumiałe. Wybory mnie definiują, a ja się ich nie boję, nawet gdy obieram drogę, którą nikt inny by nie podążył. Urodziłam się wiedźmą, ale nie taką, która w bezrefleksyjnym poszukiwaniu dobra skłonna jest poświęcić siebie na ołtarzu moralności. Stałam się nawałnicą ognia palącą świat na swojej drodze, trawiącą nie tylko wrogów, lecz także uczucia bliskich. Nie znam litości, ponieważ odebrano mi już wszystko. Teraz żyje we mnie tylko PŁOMIEŃ, więc do niego się modlę. To on jest moim drogowskazem i wyzwolicielem.

Zamykam oczy i liczę do dziesięciu, uspokajając emocje. Śpiew siostr łagodzi rozszalałe serce. Przemożna tęsknota wkrada się cicho i niepostrzeżenie, próbując skruszyć mur, który postawiłam na własną zgubę. Nie pozwalam jej na to, duszę w sobie okrucy sumienia i wrażliwości. Budzę w sobie PŁOMIEŃ. Po mnie pozostaną jedynie popioły.

CZEŚĆ I

ROZDZIAŁ I

GRÅ ULV

*Pod liśćmi rdzawymi bije moje serce, głęboko pod nimi próbuję żyć
A słońce zimne, obojętne, nie chcę go dotknąć
Chmury pospieszne mkną i wiatr je popędza, obojętny
Pod warstwą liści, rdzawych, mokrych jeszcze bije moje serce*

SZARY

Zimny, biały puch wymieszany z zeszłorocznym igliwem i liśćmi kojąco chłodzi zmęczone łapy. Codziennie pokonuję ogromne odległości w poszukiwaniu zwierzyny. Samotnemu wilkowi nigdy nie jest łatwo, lecz nie potrzebuję wsparcia stada.

Zdaję sobie sprawę, że nie odnajdę się do końca ani w świecie ludzi, ani zwierząt, na zawsze zamknięty pomiędzy oboma królestwami. Pogodziłem się ze swoją dwoistą naturą dawno temu, choć czasem nachodzi mnie tęsknota za tym, co bezpowrotnie utraciłem. Kiedy po męczącym dniu zamykam ślepie, widzę przeplatające się dzisiejsze i wczorajsze obrazy. Uśmiechnięte twarze pijanych przyjaciół przewijają się wraz z widokiem uciekającej sarny czy innego drapieżnika, który tak jak ja łaknie zdobyć swoją ofiarę. Początki były trudne, lecz nauczyłem się oddzielać oba światy i akceptować to, kim jestem. Nie każdemu jest to dane, więc właściwie powinienem być wdzięczny tej, która mnie przemieniła.

Stałem się grå ulv – szarym wilkiem przemierzającym norweskie lasy. Samotnym i wyklętym. Ludzką duszą zamkniętą w zwierzęcym ciele. Ironia losu dla myśliwego, którego zaszczytnym zajęciem było pozbawianie innych stworzeń życia. Role się odwróciły. Dołączyłem do płochliwej zwierzyny, która nieustannie wypatruje dymiącej strzelby. Nieraz uciekałem przed hordą myśliwskich psów, wygłodniałymi spojrzeniami ludzi i ich śmiercionośnymi zabawkami.

Ktoś mógłby rzec, że zasłużyłem na los wiecznie zaszczonego zwierzęcia. Może istotnie tak było. Nie mnie to osądzać.

Jedyne, czym dysponuję po przemianie, to cztery łapy. Czasem zastanawiam się, dlaczego wiedźma nie wymazała wszystkich moich wspomnień, lecz cel, którym się kierowała, pozostaje dla mnie nieuchwytny.

Trzask łamanych gałęzi oraz intensywny i kuszący zapach sierści rozchodzący się w moich nozdrzach wywołują natychmiastową reakcję. Ślina napływa do pyska. Ten dzień zaliczę do udanych, ponieważ z pewnością nie położę się spać głodny. Mrużę ślepią, gdy wiatr strząsa śnieg z gałęzi wprost na moją głowę, i ruszam pędem za zwierzyną. Jak widać – nigdy do końca nie przestałem być myśliwym.

ROZDZIAŁ II

SPOTKANIE Z CZAROWNICĄ

Trzy lata wcześniej

SZARY

To był kolejny udany dzień. Wraz z przyjaciółmi upolowaliśmy dwa dorodne jelenie, trzy dziki, cztery sarny i dwie małe łanie. Świętowaliśmy zadowoleni z siebie, delektując się przy ognisku kawałkami świeżego mięsa, gdy z kniei wyłoniła się ona.

Nie miałem pojęcia, że takie stworzenia istnieją, mimo to od razu wiedziałem, że patrzę na zło w czystej postaci. Do dziś nie potrafię opisać grozy, jaką poczułem, gdy hebanowe oczy tej istoty omiotły zebranych mrocznym spojrzeniem. Jej czarna skóra nie pasowała do tych ziem zamieszkałych od pokoleń przez białych potomków wikingów.

Objęła wzrokiem leżące na polanie martwe zwierzęta i zadrżała. Założyłbym się, że przez jej ciało przebiegła błyskawica. Zawyla niczym zraniona bestia. Wyciągnęła przed siebie ręce i z jej dłoni wystrzełyły białe płomienie, które natychmiast spaliły na popiół wszystkich zgromadzonych. Znajdowałem się kilka metrów od grupy, więc ogień mnie nie dosięgnął. Spojrzenie czarnoskórej kobiety spoczęło jednak i na mnie. Już rozczapierała palce, by dokończyć makabryczne dzieło, lecz klęknąłem przed nią struchlały i zacząłem błagać o litość.

Podeszła niespiesznie, ujęła w dłonie moją twarz i potężnie ścisnęła, jakby zamierzała zgnieść czaszkę. Mimo obezwładniającego bólu nie byłem w stanie się ruszyć. Po chwili, ku mojej wielkiej uldze, uścisk zelżał. Okrutna wiedźma ponownie pochyliła się nade mną i dmuchnęła mi prosto w oczy. Szarpiący ból rozerwał moje ciało. Na szczęście umysł osunął się w ciemność, by oszczędzić mi dalszego cierpienia.

Obudziłem się już w innej postaci. Wiedźma uczyniła mnie niewolnikiem żądy i dzikiej natury. Nigdy więcej jej nie zobaczyłem, choć miesiącami codziennie przeczesywałem lasy nie tylko w poszukiwaniu zwierzyny. Mimo że tęskniłem za dawnym życiem, nie znałem sposobu na to, by ponownie stać się człowiekiem.

Z czasem odnalazłem przyjemność w byciu drapieżnikiem. Świadomość, że nigdy już nie obudzę się w ciepłej pościeli, przestała mi ciążyć. Zdałem sobie sprawę z tego, że za kilka miesięcy, może lat, na zawsze stanę się częścią lasu, a człowiek we mnie obumrze bezpowrotnie. Zaprzestałem poszukiwać tej, od której wszystko się zaczęło, i ostatecznie zaakceptowałem swój niezwykły los.



Przykładam zimny nos do ziemi w poszukiwaniu upragnionego zapachu. Przemknął tu przed chwilą puchaty zając. Nie ukryje się przede mną, choćby schował się w najgłębszej kryjówce, wytropię go i na końcu świata. Oblizuję pysk, a jego wnętrze obficie wypełnia się śliną. Wiem, że za chwilę poczuję smak świeżego mięsa. Drzę z podniecenia, biegnąc najszybciej, jak potrafię. Kolejny udany dzień zakończę z wypełnionym brzuchem.

ROZDZIAŁ III

ZAMIEĆ

*Sama w środku nocy otwieram moje oczy
Szeroko rozwieram powieki
By dostrzec tutaj ciebie, by ciebie teraz poczuć
Uleczyć czas kaleki*

Obecnie

PLAMENA

Wybudzam się powoli z dwumiesięcznego snu. Czuję się wypoczęta i zregenerowana. Hibernacja to najlepsze, co może spotkać wampira. Uświadamiam to sobie kolejny raz. Rozprostowuję ramiona i głęboko wciągam powietrze. Niepewnie wstaję, rozglądając się dookoła. Odsuwam zakurzone rolety i otwieram okno na oścież. Śnieg okrywa moje małe miasteczko jak iskrzący się w słońcu delikatny puch. Widok bez wątpienia zapiera dech w piersiach. Po chwili jestem pełna energii i chęci do działania.

Nadszedł już czas na opuszczenie Norwegii. Nareszcie czuję się gotowa na to, by rozliczyć się z przeszłością. Muszę odnaleźć małą wioskę na Bagnach, gdzieś daleko w centralnej Polsce. Byłam tam w moim poprzednim życiu z rodzicami. Jestem ciekawa, czy wiemy jeszcze mnie pamiętać. Może mają jakieś wieści

o matce i ojcu? Wiem, że muszę im wreszcie wybaczyć, aby pójść naprzód.

Pakuję wszystkie swoje rzeczy i ruszam w drogę. Znów ogarnia mnie duch przygody. Doprawdy cygańskie ze mnie dziecko, nigdzie nie mogę na dłużej zagrzać miejsca. Może dzieje się tak dlatego, że każde po jakimś czasie mi się nudzi. Dziesięć długich lat na znienawidzonej Sycylii sprawiło, że nie potrafię znieść przebywania w jednej okolicy dłużej niż to konieczne. Dlatego bez żalu podejmuję decyzję o kolejnej podróży.

Podczas jazdy opady śniegu znacznie się wzmagają. Biały puch powoli zasłania mi widok, lecz nie mam zamiaru nigdzie się zatrzymywać. Spieszę się do kraju moich przodków, jakby za chwilę miał zniknąć z horyzontu niczym niedoścignione marzenie. Moja gotowość na konfrontację z przeszłością nie jest zaraźliwa.

Niestety, po tygodniach beczynności mój samochód wydaje z siebie nietypowe prychnięcia, by ostatecznie odmówić mi posłuszeństwa. Bezczelnie staje w środku lasu, z daleka od jakichkolwiek ludzkich siedzib. Jak każda przeciętna kobieta nie mam zielonego pojęcia o konserwacji auta, wymianie płynów czy zużytych części. Wszystkie to jest mi równie obce jak język norweski. Wysiadam rozeźlona i kopię letnią oponę, bez wątpienia nieodpowiednią na zimową porę.

– Kurwa mać! – przeklinam po polsku i śmieję się nerwowo.

Co jak co, ale przekleństwa w ojczystym języku moich rodziców brzmią bardziej dosadnie niż w innych.

– I co ja teraz zrobię, do jasnej cholery?!

Zasięgu oczywiście żadnego, jakby cywilizacja nigdy nie trafiła w te rejony. Wzdycham głęboko i bezradnie wzruszam ramionami. Nie pozostaje mi nic innego jak piesza wędrówka przez dziką zamięć.

Czemu nie kupiłam nowego samochodu? Pieprzona Norwegia! Zachciało mi się zimna i bajecznych widoków, to teraz będę miała tego w nadmiarze. Biorę torbę na ramię i wyruszam w ciemność. Nagle słyszę szelest, coś przemyka niedaleko. Węszę intensywny zapach mokrej sierści.

Lepiej nie zbliżaj się do mnie, szary towarzyszu. Jeśli myślisz, że jestem kandydatem na przekąskę, muszę cię rozczarować. Nie chcę zrobić ci krzywdy. Nie jesteś mi do niczego potrzebny, a twoja krew nigdy mi nie zasmakuje. Odejdź, póki jeszcze możesz.

Jegomość nie odpuszcza. Biedne stworzenie, na pewno jest wygłodniałe. To nie najlepsza pora dla zwierząt, choć w odróżnieniu od ludzi zdecydowanie lepiej radzą sobie w tym surowym klimacie.

Poruszam się ociężale, mięśnie jeszcze nie nawykły do ruchu. Z daleka może się wydawać, że nie mam sił i zaraz położę się tylko po to, by umrzeć. Spoglądam na wilka. Coraz bardziej się zbliża, zataczając wokół mnie kręgi. Jestem ciekawa, czy gdzieś kryją się jego kompani. Uruchamiam wszystkie zmysły. Nie, dziś przyjdzie mi walczyć tylko z nim. Wilk jednak nic nie robi. Zapewne czeka, aż osłabnę i poddam się okrutnej śnieżycy. Niedoczekanie, szary kolego. Dziś nie zatopisz we mnie zębów.

Siadam na poboczu. Rozglądam się, czekając na atak drapieżnika, jednak ten nie nadchodzi. Zamiast tego patrzy na mnie intensywnie. Dlaczego wydaje mi się, że widzę w jego oczach smutek? Czyżby obdarzył współczuciem samotną kobietę w środku lasu? Uśmiecham się do niego i przemawiam łagodnie:

– Odejdź, mały. Nic ci nie zrobię, nie wystawiaj mnie jednak na próbę. Poszukaj sobie innej zwierzyny. Wiem, że jesteś głodny, ale ze mną tracisz tylko swój cenny czas.

Wilk obnaża zęby i warchy. Jeśli się na mnie rzuci, będę zmuszona złamać mu kark. Nie chcę tego. Przecieram ręką mokre od śniegu czoło i wzdycham zrezygnowana. Nagle wpadam na pomysł. Wyciągam ręce w stronę zwierzęcia i strzelam płomieniem. W jego oczach widzę strach. Skomle i odskakuje przerażony. Podkula ogon i ucieka do kniei.

Oddycham z ulgą. Skądinąd dziwne ze mnie stworzenie. Ludzi mi nie żal, zabijam ich z zimną krwią bez wyrzutów sumienia, ale zabicie zwierzęcia jest dla mnie zbyt trudne. Zapewne dlatego, że to nie one stanowią moje menu.

– Przepraszam – mówię głośno, wyobrażając sobie, że docierają do niego moje słowa. – Nie chciałam cię przestraszyć, ale to ja jestem tu większym drapieżnikiem. Powodzenia w poszukiwaniach. Obyś najadł się dziś do syta.

Śnieg zacina coraz intensywniej. Ciągłe trzymam się drogi, mając nadzieję, że ktoś tędy przejedzie, ale z każdą upływającą minutą uświadamiam sobie, że nikt o zdrowych zmysłach nie wyrusza w podróż w takich warunkach. Ludzie, wybierając się w trasę podczas śnieżycy, ryzykują swoje życie, ja zaś odczuwam zaledwie dyskomfort.

Postanawiam wejść głębiej do lasu i zrobić sobie szałas, by przeczekać najgorsze opady, gdy dociera do mnie przeciągłe wycie. Mój wilk chyba daje mi znak, że o mnie nie zapomni. Zamiast wściekłości czuję spokój. Z jednej strony wiem, że nie podejdzie, bo już zdaje sobie sprawę, czym to może grozić, a z drugiej – przynajmniej dziś nie jestem skazana na samotność. Szary towarzysz okrąża mnie ponownie, przyglądając się ciekawie. Porzucił nadzieję na posiłek czy znów próbuje mnie wziąć na przetrzymanie?

– Wchodzę do lasu, przyjacielu – szczebioczę wesoło. – Zrobię sobie szałas z gałęzi i ubiję śniegiem, żeby się nie rozleciał. Pewnie uważasz, że oszalałam, w końcu nie mam nawet pary porządnych rękawiczek, ale dam sobie radę, możesz mi wierzyć.

Przysiada na tylnych łapach, a ja zbieram chrust i układam w prowizoryczne schronienie. Gołymi rękoma ubijam biały puch, tworząc prymitywne igloo. Mam już szczerze dość opadów i wiatru. Usadam się na pniu drzewa i zerkam na niezłomnego towarzysza.

– Jeśli nie masz ochoty ogrzać swojej szarej kity przy moim boku, radzę ci znaleźć sobie jakąś wilczą jamę – rzucam jeszcze i wpętlam na czworakach do czegoś, co bardziej przypomina psią budę niż szałas.

Układam się na pokrytej śniegiem ziemi, mając nadzieję na przespaną noc. Ku mojemu zdziwieniu widzę, że wilk bierze sobie moje słowa do serca i wchodzi do lichego azylu. Na początku niepewnie, lecz z wyraźną desperacją. Czy to normalne zachowanie dzikiego zwierzęcia? Patrzę na niego z obawą, zastanawiając się, czy ma wściekliznę.

Obwąchuje mnie ze wszystkich stron, na koniec liże moją twarz i układa swoje pokryte sierścią ciało tuż obok. Czuję przyjemne ciepło. A co najbardziej zadziwiające – poczucie bezpieczeństwa. Przytulam się do niego i na przekór rozumowi momentalnie zasypiam.

SZARY

Wyczuwam niezwykley zapach, który jest zupełnie inny niż wonie, z którymi miałem wcześniej do czynienia, a potem ją dostrzegam. Nie potrafię się zdecydować, czy bardziej budzi mój wstręt, czy mnie nęci. Ciekawość zwycięża i podchodzę bliżej.

Dla wilka wygląd kobiety nie ma większego znaczenia, ale człowiek, który we mnie tkwi, docenia nieziemską urodę tajemniczej dziewczyny, która zupełnie niespodziewanie pojawiła się na moim terytorium. Zachwycają mnie jej długie, kręcone, czarne włosy swobodnie opadające na ramiona. Jest drobnej budowy, ma na sobie zaledwie džinsy i niedbale zapiętą kurtkę. Błada cera kontrastuje z intensywnymi, zielonymi oczami, które przyciągają mój wzrok jak magnes. Porusza się z gracją, zarazem jednak emanuje niezrozumiałą siłą i pewnością siebie.

Sądzę, że zbyt długo nie pożyje. Nie mam możliwości, żeby jej pomóc. Chcę odejść, aby nie obserwować paniki i przerażenia, lecz coś nie pozwala mi jej zostawić. Zamiast płakać ze strachu nad swoją beznadziejną sytuacją, sprawia wrażenie zupełnie nieprzejętej. Przemawia do mnie łagodnie, nie okazując lęku, a potem rzuca we mnie płomieniami.

Wspomnienie czarnej wiedźmy powraca jak bumerang, uciekam z podkulonym ogonem. Nie mija dużo czasu, kiedy znów do niej wracam. Gdyby chciała mnie spalić, dawno byłbym już martwy. Próbowала mnie tylko przestraszyć.

Widzę, jak nieudolnie stara się zbudować szałas. Nie zmieniała się przy tym w kulę lodu, co samo w sobie jest niezwykle. Już w momencie, w którym cisnęła płomieniami w moją stronę, instynkt mi

podpowiedział, że ta dziewczyna nie należy do przeciętnych. Gdyby taka była, już dawno zamarzłaby na kość. Cieniutka kurtka nie ochroniłaby jej przed niechybną śmiercią.

Czyżbym drugi raz napotkał wiedźmę? To okazja, której nie mogę zmarnować. Może uwolni mnie od klątwy, odczaruje? Nie wiem, czy na pewno tego chcę, ale... A nuż to moja jedyna szansa, żeby wróciły dawne czasy?

Układam ciało blisko czarownicy. Delikatne palce pieszczą moją sierść, a niedługo później słyszę miarowy oddech. Mógłbym przegryźć jej tchawicę, mimo to nie potrafię jej skrzywdzić. Ukryte jest w niej coś, co mnie przeraża. Zasypia, obdarzając mnie całkowitym zaufaniem. Nie powinienem się tu wylegiwać, lecz polować. Nie jadłem już od dwóch dni. Wbrew zdrowemu rozsądkowi jednak poddaję się i zasypiam wraz z nią.

Nad ranem las znów mnie przywołuje. Jeśli nie znajdę pożywienia, zaraz sam się nim stanę. Ocieężały z głodu wstaję z pośłania i patrzę z czułością na tę zwiniętą w kulkę dziwną kobietę. Nie wiem, czy jeszcze ją zobaczę. Mam już jednak pewność, że sobie poradzi. Nie znam nikogo, kto byłby równie niezniszczalny. Liżę w pośpiechu jej zimne dłonie i po chwili daję się porwać instynktowi.

Zapach sarny jest duszący. Przechodziła wtedy zaledwie kilka minut temu. Głód odbiera mi zmysły. Jeśli jej teraz nie dopadnę, zdechnę przez własną opieszałość. Zbieram w sobie resztkę energii i pędzę ile sił w mych wilczych łapach, zanim inny wygłodniały drapieżnik załatwi sprawę za mnie. Zabij albo sam zginiesz – podstawowa zasada przetrwania.

ROZDZIAŁ IV

DZIECIŃSTWO W TOSKANII

*Tak, byłam wtedy sobą, niewinne miałam dłonie
Chodź, chodź tam ze mną
Może na tej drodze jeszcze jest ślad nasz?
Jest na pewno, nie mogły go zmyć deszcze*

Dwadzieścia lat wcześniej

PLAMENA

Miałam dziesięć lat, kiedy skończyło się wszystko, co dotychczas znałam. Pewnego strasznego dnia moje dzieciństwo dobiegło końca, choć na dobre jeszcze się nie zaczęło. Zanim jednak dojdę do tego momentu, opowiem pokrótce o tych błogich i beztroskich latach, do dziś szczerze zamkniętych w mej pamięci.

Od urodzenia byłam bezimienna, jak to w zwyczaju mają córki czarownic. Właśnie tym jestem: dzieckiem słowiańskiej wiedźmy. Moim ojcem jest zimnokrwisty. Wracając do matki, nie zgodziła się na nadanie mi imienia, ponieważ przez długie miesiące łudziła się, że samo mnie wybierze. Nic się nie działo, więc miałam w tym czasie różne przydomki. Najczęściej używanymi były „Principessa”, czyli „Księżniczka” po włosku, co wskazywało jednoznacznie, jak cenna byłam wtedy dla moich rodziców, oraz „Rozalia” – po rodzinie

od strony dziadka. Szkoda, że wszyscy tak łatwo odpuścili, gdy już zniknęłam im z oczu.

Dobrze, wróćmy do tych słodkich czasów, gdy byłam ich oczkiem w głowie. Trudno mi się na tym skupić, ponieważ przez lata starałam się w sobie zabić te radosne wspomnienia, by przetrwać. Dlatego twarze Dawida i Kostromy wyblakły i niewiele mogę dziś zrobić, żeby je przywrócić mojej pamięci.

Co w takim razie zapamiętałam? Rude włosy matki, delikatnie opadające na moją twarz, gdy z czułością pochylała się nad łóżeczkiem, by okryć mnie do snu. Głos ojca, który swoimi balladami sprawiał, że zapominałam o płaczu, pochłonięta pięknem jego śpiewu. Pamiętam ich miłość do siebie nawzajem i ten jej kawałek, którym się ze mną dzielili. Wspominam pluszowego misia, z którym zawsze spałam, albo smak soku z winogron z dziadkowego ogrodu. Taniec wiedźm podczas Nocy Kupały i oczywiście magiczny śpiew matki, który obezwładniał swoją mocą. Tak inny od ojcowskiego – potężny, mroczny, lecz równie uzależniający.

To niewiele, jak na dziesięć lat życia, tyle jednak musi mi wystarczyć.

Pewnego dnia moje imię ukazało się rodzicom i choć dziwaczne, zostało zaakceptowane. Dawało nadzieję na to, że magiczne geny zostały mi przekazane, a ojciec był w istocie potomkiem włoskich wiedźm, jak to przewidziała babka Drawena.

Płamena. Słowo, jak się można domyślić, jest związane z płomieniem. Mój twórca dowiedział się na własnej skórze, czym jest to imię. O tym jednak powiem później, więc nie wyprzedzajmy faktów.

Rodzice pokładali we mnie ogromne nadzieje. Jako córka dwóch niezwyklej stworzeń miałam być żywym dowodem na doskonałość natury. Gorzko musiałam ich zawieść, gdyż przez te lata, które ze mną spędzili, moja magia nie wypłynęła na światło dzienne. Wydawałam się dzieckiem nad wyraz przeciętnym, aczkolwiek upartym i krnąbrnym. Mając ich bezgraniczną miłość, wykorzystywałam ten fakt i próbowałam nimi sterować według własnych potrzeb. Tata dawał mi dużo swobody, gorzej było z matką, lecz i ona zaślepiona

uczuciem do ojca w końcu ustępowała. Doprawdy zbyt wiele ucho-
dziło mi na sucho.

Dziadek i babcie dokładali się do bezstresowego wychowania – rozpieszczali mnie na swój sposób. Może instynktownie czuli, że jedyne, co mogą dla mnie zrobić, to dać mi te dziesięć najpiękniejszych lat życia.

Po niepokojącej przepowiedni wuja Domagoja dom moich rodziców stał się prawdziwą twierdzą. Wysokie ogrodzenie pod napięciem, kamery w każdym kącie ogrodu, trzy groźne dobermany pilnujące posesji, a co najważniejsze – czar ochronny czarownic, który miał za zadanie chronić mnie przed czającymi się zewsząd niebezpieczeństwami. Dlatego przez lata nikt nawet nie próbował włamać się do posiadłości.

Z biegiem czasu moi rodzice stracili czujność, uwierzyli, że skoro nie wykazuję magicznych zdolności, nie stanowią dla nikogo żadnej wartości. O tym, jak bardzo się mylili, mieli się wkrótce boleśnie przekonać, lecz powiedzmy sobie szczerze: to ja zapłaciłam najwyższą cenę.

Rodzice postanowili uczcić moje dziesiąte urodziny, zabierając mnie do parku rozrywki. Nigdy nie urządzali mi przyjęć z balonami, tortem ani klaunem, ale zawsze jechaliśmy w miejsce przeznaczone dla dzieci. Opuszczali nieco gardę, dając mi więcej swobody w wyborze rozrywek.

Tym razem padło na Piccolo Mondo, park znajdujący się niedaleko Pizy, z największą zjeżdżalnią w Toskanii. Uwielbiałam wodne zabawy, a także tor gokartowy, za którym przepadał również ojciec. Spędziliśmy cudowny czas, bawiąc się do późnych godzin wieczornych.

Dziś, gdy zamykam oczy, widzę jeszcze tę dziecięcą radość ojca i spokojny uśmiech matki. Ostatnie moje wspomnienia, tak cenne i jednocześnie tak bolesne.

Wyczerpani po tym jakże intensywnym dniu poszliśmy w kierunku naszego samochodu, lecz na parkingu nigdzie nie mogliśmy go znaleźć. Ogarnęło mnie znużenie i marudziłam, co nie poprawiło i tak już napiętej atmosfery. Rodzice w panice szukali auta, przez co całkowicie zapomnieli o moim istnieniu.

Próbowałam za nimi nadążyć, ale moje dziecięce nóżki nie dawały rady. Po pewnym czasie zmęczyłam się i usiadłam na krawężniku. Nagle zobaczyłam, że ktoś się nade mną nachyla.

– Jesteś głodna? – zapytał mały, czarnowłosy chłopiec.

Piękne, brązowe oczy otoczone firanką nieprzyzwoicie długich rzęs świeciły magnetyzująco niczym dwa bursztyny.

– Tak – odpowiedziałam bez zastanowienia, zauroczona jego niezwykłą urodą.

– Mój tata ma niedaleko food trucka. Chodź ze mną.

Nie pytając mnie o zdanie, pociągnął za rękę i w ciągu paru chwil zniknął z oczu opiekunom. To był ostatni raz, gdy ich widziałam. Dziwne to nasze pożegnanie. Niepewnie rzuciłam w ich kierunku ostatnie spojrzenie i pobiegłam za chłopcem.

Czy podejrzewałam wtedy, że nigdy więcej nie zobaczę rodziców? Niestety nie przewidziałam niczego. Żaden instynkt wiedzmy mnie nie ostrzegł. Zupełnie dobrowolnie weszłam do paszczy lwa.



ROZDZIAŁ V

WYTARTY PARKIET

*Chodź do mnie i mnie weź, w upale białym pieść
I usta niech nas parzą
I twarz niech będzie przy twarzy
Więc poddam się już słońcu, bo jesteś przy mnie w końcu*

Kilka miesięcy wcześniej

NICO

Obudziłem się z uśmiechem na ustach. To właśnie dziś miał być ten dzień, w którym spełnią się moje marzenia. Miesiące przygotowań nie mogły pójść na marne. Wyobrażałem sobie, jak publiczność szaleje po naszym występie, a inne pary obchodzą się smakiem, jak stają się panem swojego losu, czempionem. Wierzyłem, że wraz z partnerką wyjedziemy z turnieju ze złotym medalem. Kilka godzin ćwiczeń dziennie, najlepsza nauczycielka w Norwegii i nasza miłość połączona z pasją musiały zaowocować. Zasluginowaliśmy na sukces.

Grete wyglądała olśniewająco. Mocny makijaż i lśniąca sukienka podkreślały jej niezwykłą urodę. Za każdym razem, kiedy na nią patrzyłem, miękły mi kolana. Jak to możliwe, że ta cudowna dziewczyna należała do mnie?

Podszedłem do niej i chuchnąłem w jej dłoń. Wiedziałem, że marznie w tej cieniutkiej prześwitującej sukience. Odsunęła się ode mnie z uśmiechem.

– Zaraz będzie nam gorąco, Nico – szepnęła mi do ucha.

Boże, jak ja uwielbiałem jej głos. Gdy tylko go słyszałem, po plecach przechodziły mi ciarki. Wziąłem ją za rękę i tanecznym krokiem weszliśmy na parkiet. Daliśmy z siebie wszystko. Świat wraz z Grete wirował wokół mnie. Obcasy ledwie muskały podłogę, grawitacja przestała na nas działać. Uśmiechy dla jurorów, pocałunki dla publiczności. Oszłamiająca radość tańca. Młodość i energia rozpieęły mnie od środka. Zatraciłem się w rytmie muzyki, to tuląc, to podrzucając moją złocistą partnerkę. Nic nie miało znaczenia, jakbyśmy byli tam zupełnie sami. Poczułem jej ciepły oddech na szyi. Miała rację. Gorąco opłotło nasze ciała, wytwarzając wilgotny kokon. Nie chciałem, żeby nasz taniec kiedykolwiek się skończył, lecz melodia uparcie dogasała wbrew moim życzeniom.

Zmęczeni opadliśmy na ławkę. Grete położyła spoconą głowę na moim ramieniu. Zamknąłem oczy, ponieważ świat jeszcze nie przestał wirować. Pogląskałem ją po policzku i kciukiem otarłem rozmazany tusz.

W tej chwili chciałem jedynie znaleźć się z nią pod prysznicem i namydlać jej cudowne ciało. Nie myślałem o zwycięstwie, pragnąłem tylko jej. Obiecała, że po turnieju pojedziemy razem do hotelu i nareszcie to zrobimy. Zaznamy spełnienia, jak to sobie wymarzyłem.

Niechętnie skierowałem myśli na inny tor. Erekcja wśród tłumu nieznajomych zdecydowanie nie była wskazana. Najpierw musimy zdobyć medal – upomniałem się w myślach. Potem nagroda.

ROZDZIAŁ VI

NIEZNAJOMA

*A dziewczyna wciąż rumiana i ku życiu roześmiana
Lecz nie słyszy nikt
Martwym sercem kocha, martwym okiem szłocha
Ale nie ma nic*

Obecnie

NICO

Przyjemna pościel nęci i nie pozwala wyjść z łóżka. Nawet nos mam zimny. Czy to oznaka zdrowia tak jak u psa? Zapomniałem wczoraj wrzucić dość opału do pieca i teraz w chacie jest lodowato. Jestem idiotą. Tańczyłem do utraty tchu i zapomniałem o bożym świecie. Pozostaje mi zaakceptować skutki mojego niedbalstwa.

Zmuszam się, żeby wystawić jedną stopę spod kołdry, potem drugą. Szybko wkładam sweter i kalesony. Krótka rozgrzewka, parę pompek oraz przysiadów i jestem gotowy do działania. Rozpalam w piecu, zakładam kurtkę, nie zapominając wcześniej o spodniach i ciepłych butach. Postanawiam przed śniadaniem pobiegać po lesie. Muszę utrzymać formę, inaczej szybko nie wrócę na parkiet.

Podczas przebieżki już z daleka widzę coś, czego tu wczoraj nie było. Jakaś prymitywna buda zmieszana ze śniegiem. Co to ma być?

Podchodzę bliżej, zaglądam niepewnie do środka i widzę zwiniętą kobiecą postać. Ogarnia mnie przerażenie. Ktoś zamarzł niedaleko mojego domu! Muszę to zgłosić władzom.

Dotykam zimnego policzka, lecz ku mojemu ogromnemu zdumieniu widzę, jak otwiera oczy. Jak to możliwe, że jeszcze żyje? Przecież leży na skutej lodem ziemi! Wyciągam ją z tej atrapy schronienia, biorę na ręce i wraz z bagażem zanoszę do domu. Nie dziwię się, że jest lodowata, lecz to, że nie zamarzła na kość, stanowi prawdziwy cud. Obserwuje mnie, gdy otulam ją szczelnie kołdrą. Po chwili wkładam gorącą herbatę do jej zmarzniętych dłoni.

– Pij, to cię rozgrzeje – ponagliam ją, ponieważ zamiast pić, nadal wpatruje się we mnie w niezrozumiały sposób.

Dochodzę do wniosku, że jest w szoku. Po chwili przychodzi mi do głowy myśl, że może ktoś spał z nią w tym szałasie. Tylko w ten sposób mogła przeżyć tę noc.

– Ktoś ci towarzyszy? Powiedz, gdzie się znajduje, jemu też pomogę. Jesteś głodna?

Nie odpowiada na żadne z moich nieskładnych pytań. W dalszym ciągu tylko patrzy, przez co czuję się coraz bardziej niepewnie.

– Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy.

Pomimo okoliczności nie wygląda na przestraszoną. Obserwuje, ale na jej twarzy próżno szukać strachu. Niewygodna cisza się przeciąga. Nie mam pojęcia, co robić, aż nagle doznaję olśnienia. Może ona jest emigrantką albo turystką, która nie zna norweskiego? Płynnie przechodzę na angielski i z ulgą widzę w jej oczach zrozumienie.

– Zrobię ci gorącą kąpiel, pewnie jesteś wyziębiona. Ta herbata zaraz ci wystygnie. – Wskazuję na nietknięty kubek.

– Gdzie jestem? – odzywa się aksamitnym głosem, a ja zamieram, jakby niewidzialnymi niciami przyszyła mnie do podłoża.

– Najbliżej znajduje się Noresund, ale o tej porze roku droga jest nieprzejezdna. Przy takich warunkach nie ma szans dostać się do miasta. Jechałaś samochodem? – Nieznajoma potwierdza skinieniem głowy. – W takim razie musiałaś pomylić drogę w tej śnieżycy,

tutaj zapuszcza się niewiele osób. Gdzie chciałaś dotrzeć? – pytam, idąc do łazienki.

– Do Oslo – odpowiada niepewnie, podążając za mną.

– No to dojedziesz tam chyba dopiero wiosną.

Nalewam gorącej wody do wanny. Dodając płyn do kąpieli, uświadamiam sobie, że ma męski zapach. Mówi się trudno, nie spodziewałem się tutaj gości. Podaję jej świeży ręcznik.

– Jak ci na imię?

– Co?

Przegląda mi się tak, jakby nie do końca wiedziała, co się dzieje. Cywilizacja w środku lasu. Tak, to dzieło mojego taty. Nic na to nie poradzę, że lubił samotność i zarazem wszystkie wygody na miejscu. Łącznie z satelitarnym Internetem, o który walczyłem z ojcem, od kiedy tylko zaczął mnie tu zabierać.

– Pytam, jak masz na imię. Jestem Nicolas, dla przyjaciół: Nico.

Wyciągam w jej kierunku rękę, ale zdaje się tego nie zauważać. Spogląda na mnie spod przymrużonych powiek i intensywnie nad czymś myśli. Co trudnego jest w moim pytaniu?

– Płamena.

Mam wrażenie, że nie dostyszałem, co odpowiedziała. Widzi moją konsternację. Wyraźnie się nade mną lituje i dodaje:

– Możesz mówić do mnie Sparkle. – Zawsze uważałam, że słowo „iskra” do mnie pasuje.

– Dobrze, Sparkle, kąpiel gotowa. Wskakuj i ciesz się ciepłem. Możesz zostać tam tak długo, jak zechcesz. – Uśmiecham się do niej promiennie, delikatnie zamykając za sobą drzwi łazienki.

Zmieniam pościel na świeżą, a na kanapę kładę koc. Pewnie przez jakiś czas będę musiał pożegnać się z wygodnym łóżkiem w sypialni na rzecz gościa. Nie mam wyjścia, tak zostałem wychowany. Przeglądam czasopismo, potem sięgam po książkę, a zielonooka dziewczyna dalej nie wychodzi.

To dobrze, pewnie tego potrzebowała. Czy auto się popsuło? Może miała wypadek? Cokolwiek to było, musiało się wydarzyć niedawno.

Wreszcie wychodzi, z ręcznikiem niedbale zawiniętym wokół bioder. Jej drobne piersi kołyszą się z każdym krokiem. Przetykam nerwowo ślinę i uprzejmie odwracam wzrok. Podchodzi do mnie niebezpiecznie blisko, pozbywając się prowizorycznego odzienia. Ujmuje moją twarz w dłonie i szepcze zmysłowo:

– Czego chcesz w zamian za twoją szczodrość?

Nie mogę oderwać od niej wzroku. Ile ma lat? Siedemnaście, góra osiemnaście. To przykre, że w tak młodym wieku musiała już kupczyć własnym ciałem. Biorę się w garść i podaję jej ręcznik.

– Niczego od ciebie nie chcę. Nie czuj się zobowiązana – mówię najbardziej surowym głosem, na jaki mnie w tej chwili stać. – W moich stronach pomoc potrzebującym jest darmowa.

– Nie skorzystasz z okazji, dzieciaku? – Czarnowłosa dziewczyna śmieje się lubieżnie. – Nie krępuj się.

Wkłada moją rękę między swoje mokre uda. Gwałtownie wyrwam dłoń i wstaję speszony.

– Mówiłem poważnie. Nie mam zamiaru cię wykorzystać. – Uciekam wzrokiem przed jej wulgarnym spojrzeniem.

– Nie bój się. To nie ty mnie wykorzystasz, tylko ja ciebie.

Ponownie słyszę jej perlisty śmiech, który przyprawia mnie o ciarki. Nie odpowiadam, kompletnie zaskoczony jej zachowaniem. Interpretując moje wahanie na swój sposób, klęka przy mnie i próbuje rozpiąć rozporek.

– Napiję się z ciebie, tak czy inaczej – mówi bezwstydnie.

Tego już za wiele. Odpycham ją zdecydowanie i siłą zmuszam, żeby wstała.

– Nie dociera do ciebie, co właśnie powiedziałem? Nie mam zamiaru uprawiać z tobą seksu! – Zapinam drżącymi rękami rozporek. – Nie jestem zainteresowany, rozumiesz?

– A więc jesteś jednym z tych...

Wyzywająco oblizuje wargi. Wbrew sobie twardnieję na ten widok.

– Co masz na myśli?

– Jesteś gejem, tak?

Wreszcie okrywa swoje wdzięki ręcznikiem.

– To nie twoja sprawa, ale dla twojej wiadomości: nie, nie jestem.
Po prostu cię nie znam.

– Prawiczek. – Szybko mnie osądza. – Taki niewinny...

Śmieje się szyderczo, a mnie pieką policzki. Mam ochotę odwieźć ją do miasta, żeby więcej jej nie oglądać. Cholerna śnieżycą!

– Nie mam zamiaru z tobą rozmawiać na ten temat. – Łapię powietrze głęboko w płuca, próbując uporządkować myśli. – Przez jakiś czas to będzie twój pokój. Proszę, nie wychodź więcej bez ubrania.

Biorę jej torbę podróżną i siłą wpycham do sypialni właścicielkę. Zamykam drzwi i oddycham z ulgą. To będzie długa zima.

ROZDZIAŁ VII

PORWANIE

*W klatce moich piersi zamknięta oddycham, lecz żebra ledwie się ruszają
Lawina myśli, lawa emocji nie wzniosą żeber ponad swój normalny stan
Choć wewnątrz wulkan wybucha co chwila
Nikt nie zauważy, że ginę w płomieniach*

Dwadzieścia lat wcześniej

PŁAMENA

Wiele wspomnień zlało się ze sobą, lecz moment, w którym to wszystko się zaczęło, pamiętam tak dobrze, jakby to było wczoraj. Gdy chłopiec zaprowadził mnie do vana, okazało się, że nikt tam nie sprzedaje jedzenia. Z auta wyszedł postawny, śniady mężczyzna w średnim wieku, o muskularnych ramionach i surowym spojrzeniu, którym zmierzył mnie od stóp do głów. Zimny wyraz jego twarzy nie zwiastował niczego dobrego. Nic nie powiedział. Podszedł do mnie, złapał za ramię i brutalnie wepchnął do samochodu.

Do dziś stawiam sobie pytanie, dlaczego wtedy nie krzyknęłam lub choćby nie próbowałam uciekać, lecz prawda jest niezwykle prosta. Strach przed obcym tak mnie sparaliżował, że nie potrafiłam wydobyć z siebie głosu ani się ruszyć. Obezwładniona niemocą dałam się porwać.

Brązowooki chłopiec spojrzał na mnie smutno, jakby zżerało go poczucie winy.

– Przepraszam – odezwał się. – On mnie do tego zmusił. Muszę go słuchać, bo jak jestem niegrzeczny, to mnie bije.

– Dokąd jedziemy? Moi rodzice zaczną się o mnie martwić – powiedziałam, próbując znaleźć sobie miejsce na zimnej podłodze.

– Do domu. Mieszkamy na południu, na Sycylii. Połóż się i prześpij, przed nami długa droga.

Podał mi stary koc, a potem owinął się drugim. Zwinął się w kuleczkę i usnął prawie natychmiast. Przez całą podróż nie zmrużyłam oka, próbując walczyć z gulą, która z każdą godziną jazdy rosła w moim gardle.

Gdy dotarliśmy na miejsce, porywacz otworzył drzwi z tyłu samochodu, wpuszczając do środka gorące, południowe słońce. Przymrużyłam oczy, które przez wiele godzin zdążyły już przyzwyczaić się do ciemności. Chwilę później usłyszałam zimny i nieprzyjemny głos oprawcy:

– Ernesto, zaprowadź naszego gościa do jego nowej siedziby. Szybko, nie ociągaj się!

Obrócił się do nas tyłem, przekonany, że chłopak wykona polecenie bez wahania. Tak się stało. Ernesto wziął mnie za rękę i pomógł wyjść z pojazdu. Chciał zaprowadzić mnie na miejsce, lecz ja nie miałam zamiaru nikomu się podporządkować. Gdy tylko wyskoczyłam z samochodu, rzuciłam się pędem w kierunku zamykającej się bramy. Niestety nie zdążyłam. Zaczęłam przeraźliwie krzyczeć i wołać o pomoc, zanim się jednak spostrzegłam, straszny mężczyzna znalazł się niebezpiecznie blisko mnie. Poczułam mocne uderzenie w twarz. Policzek zapiekł boleśnie, a stróżka krwi poleciała z mojej rozbitej wargi. Ze złością w oczach wysyczał:

– Jeśli jeszcze raz spróbujesz ucieczki, obiecuję, że na spuchniętej buzi się nie skończy. Od teraz jesteś moją własnością. Nie toleruję nieposłuszeństwa, zapamiętaj to sobie dobrze. Ernesto...

Gestem dłoni przywołał chłopca i zupełnie niespodziewanie kopnął go w brzuch. Chłopak zwinął się na ziemi z bólu, z trudem

chwytając powietrze, lecz nie wydobył z siebie nawet najmniejszego jęku.

– Ponadto jeśli kiedykolwiek mi się sprzeciwisz, zbiję go na kwaśne jabłko, a ty będziesz musiała na to patrzeć. Zrozumiano?

Swoim drapieżnym wzrokiem przeszył mnie na wylot. Nie odezwałam się i wbrew zdrowemu rozsądkowi spojrzałam mu hardo w oczy. Podszedł do mnie i mocno ścisnął moje policzki.

– Zrozumiano?! – wysyczał.

Znów nie odpowiedziałam. Mężczyzna westchnął ostentacyjnie, złapał mnie za włosy i brutalnie powłókł za sobą, po czym zrzucił ze schodów do piwnicy. Spadając, potłukłam się boleśnie, ale na szczęście nie złamałam sobie żadnej kończyny.

W tym zimnym i mrocznym miejscu spędziłam samotnie wiele tygodni, obawiając się, co mnie czeka. Raz dziennie Ernesto podawał mi posiłek – niezmiennie suchy chleb i wodę – przez mały otwór w drzwiach. Takie traktowanie mnie wyczerpało i całkowicie pozbawiło wcześniejszego buntu. Pogodziłam się z tym, że aby przeżyć, muszę być posłuszna.

Kiedy w końcu zobaczyłam światło słoneczne, porywacz podszedł do mnie i zapytał:

– Czy ta lekcja ci wystarczy?

Ledwo trzymałam się na nogach, byłam spragniona i głodna, więc pokiwałam smętnie głową. Nie wystarczyło mu to. Uderzył mnie ponownie w policzek i zbliżył swoją twarz do mojej. Owionął mnie nieświeży oddech, od którego zrobiło mi się słabo.

– Pytam: czy wystarczy ci ta lekcja?! – krzyknął groźnie, wykręcając mi rękę.

– Tak – odpowiedziałam słabym głosem, błagając w myślach, żeby to się wreszcie skończyło.

– Masz powiedzieć „tak, panie”. – Zobaczyłam, jak jego dłoń znów zmierza w kierunku mojej głowy.

– Tak, panie – powtórzyłam przerażona, a jego ręka wylądowała delikatnie na moich czarnych włosach.

– Grzeczna dziewczynka. Pamiętaj, jesteś teraz moja, tak jak ten chłopak. Mam w stosunku do was pewne plany. – Przejechał ręką po moich plecach, po których przeszły mi ciarki obrzydzenia. – Ernesto, zaprowadź naszego gościa do kuchni. Na pewno jest głodna.



Przez wiele tygodni naśladowałam towarzysza niedoli. W pobliżu porywacza zachowywałam się jak automat. Słuchałam wszystkich jego poleceń, przez cały dzień pracując w pocie czoła przy gospodarstwie. Wypatrywałam wszelkich możliwości ucieczki, lecz znajdowaliśmy się zbyt daleko od ludzkich siedzib. Nikt tamtędy nie przechodził, nawet pies z kulawą nogą nie zagościł na tej opuszczonej przez Boga plantacji pomidorów. W duchu nie zamierzałam się jednak poddać. Cały czas naiwnie wierzyłam, że rodzice dzięki swoim magicznym zdolnościom nie pozwolą mi cierpieć zbyt długo, odnajdą mnie i zniszczą mojego prześladowcę.

Mijał miesiąc za miesiącem i nikt się nie pojawiał. Gdy minął rok od porwania, a twarze ojca i matki zaczęły się rozmywać w pamięci, z rozpaczą zdałam sobie sprawę, że jestem skazana na dożywotni pobyt w tym okropnym miejscu. Nie było ratunku. Zostałam porzucona i zapomniana przez tych, którzy mieli mnie kochać. Zostawili swoją córkę na pastwę okrutnego losu.

Ernesto stał się moją rodziną, bratem, powiernikiem i przyjacielem. Był jedyną osobą, która mnie rozumiała, ponieważ cierpiał równie mocno jak ja. Oferowaliśmy sobie nawzajem wsparcie i pocieszenie. Nie wiem, jak przetrzymałabym ten straszny czas bez jego obecności.